ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 30-go Grudnia 1897. Nr. 52.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Ślązku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

BRAT I SIOSTRA.

Był jeden biedny chłopek, co miał chałupę na obcym gruncie, a ta tak była ogrodzona płotami sąsiada bogatego, że ledwo mógł ją obejść i trudno mu też było utrzymać krowę jaką, bo sąsiad bogaty zabraniał mieć nawet kurkę, aby mu szkody w ogrodzie nie robiła. Biedny ten chałupnik żył tylko z codziennego zarobku i dla świętej zgody z bogatym sąsiadem, nie trzymał sobie ani kury, aby mu na zagonie nie grzebała, ani krowy, aby mu szkody nie robiła; a z płotu jego nie ruszył mu ani patyczka, choćby miał i nie jeść nic gotowanego. W jego chałupie nie znalazłbyś ani ziarneczka maku cudzego, ani zdziebełka kradzionego, ani nitki niczyjej, coby miał niesprawiedliwym sposobem. To też rzadko jadał on chleb, bo go nie było stać na to, a inna strawa nie była mlekiem pobielana, a nieraz ani solona, gdyż nie było za co soli kupić, a na przednowku, to dopiero była bieda. W takiej biedzie nie przyszło mu nigdy na myśl, aby co komu ukraść lub kogo ocyganić, ale wtedy prosił on gorąco Pana Jezusa, aby mu nie dał zginąć i jakoś biedę bez grzechu przebyć. Poszedł nieraz do dworu dobrej pani i zawsze sobie coś przyniósł. Nie kładłci się on chłopek ani wstawał bez pacierza, a jak rano wychodził z chałupy, to się żegnając, mówił:

— O Panie Jezusie! dajże mi też szczęśliwie przeżyć ten dzionek Boży, i zachowaj mię od grzechu!

I nie zaginął ten biedaczysko nigdy, wszystkie przednowki przebył, choć nie jeden bogaty umarł, co miał gdzie siedzieć i co jeść do syta. Boć tak rządzi wszystkiem Pan Jezus miłosierny. Kto pobożny i ostrożny, choćby był i ostatnim na ziemi, tego Pan Jezus strzeże; a kto Bogu wiernie służy, ten marnie nie zginie; a choćby tam i brakło komu jedzenia, to mu nie braknie ani przytułku, ani słonka, ani wody, ani pomocy boskiej, a byleby miał ducha dobrego w sobie, to on wszystko złe zwycięży i przeżyje.

Całą pociechą tego biedaka było dwoje dziatek: Staś i Marysia, tak chłoczyk był zwinny jak i dziewczynka, jedno i drugie oprane jak piórka na gołąbku. Nie znały one matki, bo tę zabrał Pan Jezus, kiedy one były jeszcze drobne jak kurczątka. Zostały więc sierotkami, tylko dobry ojciec wychuchał ich, wykarmił biedą i łzami, wyuczył ich wszystkiego dobrego, co on sam umiał i czego go wyuczono w kościele Bożym. To też ta dziatwa miała jakby jedno oczko, jakby jedną rękę, jedną duszę, co jedno powiedziało dobrego, to drugie już robiło na wyścigi, jak siostra płakała o co, to brat mówi:

— Nie płacz siostrunio! Pan Jezus widzi naszą chałupę biedną z wysokiego nieba, i my nie zginiemy! A wtedy ocierał jej rączką łzy z oka, wieszał się na jej szyi i całował ją serdecznie i mówił jeszcze: — Nie płacz, nie płacz Maryniu, bo jak tatuś przyjdą i zoba-

czą oczy twoje mokre i czerwone, to się zgryzą, bo oni się i tak gryzą o to, że my takie biedne i najbiedniejsze na całą wieś.

I już było dobrze, bo siostrzyczka omyła sobie oczka wodą, a brat otarł je rękawem od koszulki i poczęli dalej robić, aby miał ojciec co zjeść, gdy powróci do domu z ciężkiego zarobku. Razem siostra z bratem klękali koło stołu i mówili sobie głośno pacierz rano i wieczór, razem chodziła dziatwa do kościoła, Staś posłużył Maryni, a ta wzajem jemu, razem sobie składali na ubiorek, to na koszule, buciki... a Staś rzekł:

— Jak nam Pan Jezus dopomoże, że sobie zarobimy, to sobie kupimy jednakie buciki.

Marysia odrzekła:

— O! pierwej trzeba pomyśleć o bótach naszego biednego ojca, bo on już biedaczek nogi pozbijał do reszty na tych zarobkach.

Zawsze jeśli Staś szedł na zarobek, to Marysia była w domu, aby ojcu co jeść zgotować, aby mu szaty podarte ponaprawiać, aby co Sobota wyprać wszystkie chusty, by można iść do kościoła w niedzielę, aby ludzie nie mówili:

— Oto jest dwojga dziatek w domu, a jakie to niedbałe, że ani sobie, ani ojcu nie wypierą koszuli...

To też dziwili się nie mało w sąsiedztwie, że te sierotki mogły tyle robić, czego nie robiła niejedna gospodyni, bo w ich chałupie było zamiecione, śmiecie było na gnój wyniesione, szyby w okienku umyte, piec polepiony, ławka i stół co Sobota wymyte, a ścieżka koło domu była tak czysta, żebyś tam i włoska nie zobaczył na ziemi, a cała chałupa była glinką i rękami tak wymuskana, iż między płotami i wierzbami wyglądała jak biały dworek. A nad drzwiami do sieni wisiał Pan Jezus ukrzyżowany, co go sobie kupiła Marysia, gdy była z ojcem na Kalwaryi i kupiła go sobie za te grosze, co jej ojciec dał na wstążkę, bo ona tak myślała sobie:

— Lepiej mi kupić święte rzeczy, niż światowe; wolę mieć krzyżyk z Panem Jezusem, niż malowaną wstążkę, i kupiła ślicznego Pana Jezusa, dała go poświęcić i sama powiesiła go nad sienią, a ile razy Staś z Marynią wychodzili lub przychodzili, to całowali tego Pana Jezusa i mówili:

— O Panie Jezusie! dopomóż nam też, abyśmy nie zginęli za życia i po śmierci.

I było im dobrze, bo nie ci mają dobrze, co to mają co jeść i pić i nic nie robią, ale tym dobrze, co Pana Jezusa kochają, pobożnie żyją i za to Bogu dziękują, co on im daje z łaski i miłosierdzia. Oj biedne sierotki! one taiły łzy przed ojcem nieraz, dopóki ojciec wychodził z domu na zarobek, ale jak ojciec zachorował i na środku izby leżał, wtedy musiały płakać nad ojcem, a ojciec nad niemi. Tylko ojciec rozumny mówił im zawsze:

— Nie płaczcie darmo! Choć ja umrę, to wy nie zginiecie, tak jak nie zginęłyście w kołysce po śmierci matki, albowiem Pan Jezus kocha najbardziej sierotki! Nie macie wiana ani gruntu, ale macie zdrowie, dobrą naukę, dobry przykład odemnie, macie pobożność i cnotę, i macie w niebie Matkę najświętszą i nie zginiecie, jak długo dobremi pozostaniecie.

I stary chałupnik już nie wstał więcej. Biedna dziatwa została teraz jak dwa listki na suchem drzewie, oboje i biedne ściany i ta jedna izba o jednem okienku z jednem stołem i jedną ławką zostały.

Trzeba było trumny dla ojca, a tu nie było z czego zrobić i mówi Staś:

— Ot weźmy stół i tę ławkę i obmyjmy to ślicznie piaskiem, złóżmy to do kupy, zwiążmy sznurkami i będzie trumna dla ojca, bo nam tu nikt nie zechce dać kawałka tarcicy, bo teraz ludzie są bardzo mądrzy i łakomi i nic a nic darmo nie dadzą.

I wzięła się dziatwa osierocona już zupełnie do roboty, ale deski ze stołu były za krótkie i było ojcu nogi do kolana widać, więc cóż tu było płaczu?

Ile razy to pocałowały i gorzkiemi łzami zlały te dobre dzieci zimne nogi ojcu zmarłemu? i cóż tu robić?...

Ale Marynia rzecze:

— Do sąsiadów bogaczów nie ma po co iść, bo tam i ojciec po nic nie chodził, lecz jest plebania i dwór...

I leci Marynia do pani do dworu z płaczem nieutulonym i pokłoniła się pokornie i pochwaliła Pana Jezusa.

Tu się pani zdziwiła i także łez wstrzymać nie mogła.

A Marysia nieutulona z żalu mówi:

— Staś zrobił trumnę ojcu, ale krótka, niech nam też pani w imię Pana Jezusa podaruje kawałek tarcicy...

A pani rzecze:

— Ja pójdę sama zobaczyć! — i poszła z sierotką i rozpłakała się, gdy ujrzała co sieroty zrobiły, i dała im tarcicę i kazała zrobić trumnę, a Staś wymalował krzyżyk na trumnie, i włożył w ręce ojca obrazek Pana Jezusa. Ale trzeba było koszuli dla ojca, bo jakże go grzebać w podartej?...

Otóż nie śmiała Marysia iść drugi raz do dworu prosić, bo ona pamiętała, co jej ojciec mawiał:

— Co sobie sama możesz zarobić, o to ani proś, ani się nie kłaniał ludziom, tylko proś Pana Jezusa i pracuj, a będziesz miała.

I poszła do bogacza sąsiada za ostatni grosz kupić płótna; a sąsiad bez serca, zimny jak lód, nie zważał na sieroctwo, ale kazał sobie dobrze zapłacić, i ani się nie popatrzył na zakrwawione od płaczu oczka Marysi. A biedne dziewczę nie miało tyle pieniędzy z sobą, więc pobiegło po nie i zostawiło płótno, bo sąsiad bez litości nie dowierzał biednej sierotce i nie chciał jej ani grosza podarować, choć dobrze wiedział, że to płótno idzie na śmiertelną koszulę, ale nie na jakie stroje światowe. I uszyła Marysia koszulę ojcu nowiutką i ostatni grosz dała dziatwa osierocona na mszę św. za duszę ojca i po tak smutnym pogrzebie wracały już na pół nieżywe do domu, a Staś płacząc, rzekłnie:

— Widziałaś Maryś jak tam stoją na grobach krzyże drewniane i malowane, możeby można taki krzyż postawić i ojcu naszemu?...

A Marysia mówi:

— Dobrze ty mówisz Stasieczku, oto pójdziemy do żniwa do dworu przez tydzień, za zarobek kupimy dąbka i damy zrobić krzyż i postawimy ojcu.

I jak sobie sieroctwo powiedziało, tak zrobiło, i stanął krzyż na grobie ojca, a za miesiąc odbyło się nabożeństwo w kościele za duszę ojca i matki, bo sieroty kochały serdecznie nawet po śmierci swych rodziców. Co Niedziela brat z siostrą szli na cmentarz, aby się modlić nad grobem rodziców, nawet posadzili młode drzewka nad grobem. Staś posadził cztery małe sosienki na grobie ojca, a Marysia białe jaśminy na grobie matki; codzień w pacierzu wymieniali dusze ojca i matki, a starą kapotę po ojcu i pas jego jako pamiątkę chowali, i ile razy popatrzało jedno lub drugie na to, płakało, a gdy kto chciał kupić tę starą kapotę od nich, to mówili:

— To pamiątka naszego ojca, tego nie sprzedamy, bo to grzech za to, kiedy dzieci poniewierają rzeczy i pamiątki rodzicielskie. Wolelibyśmy to dać jakiej sierocie, niż brać za to pieniądze.

I została dziatwa w chałupie sama, sama bez ojca, bez matki, bez opiekuna, bo gdzie tam bogacze chcą się opiekować sierotami? Gdyby sieroty były bogate, toby każdy chciał mieć opiekę byliby wtedy i krewni, i bracia, i sąsiedzi... Ale dla biednej sieroty nie ma ręki ani ochoty!

Po śmierci ojca zaraz zaczął ujadać sąsiad bogacz, na którego gruncie stała chałupa sierót. Biedne sieroty poszły do niego i taką zrobiły ugodę:

— Będziemy wam robić w polu za to, abyście nas z chałupy nie wyrzucali.

I był kontent strasznie łakomy sąsiad, że mu przybyło cztery sieroce

ręce do roboty i to za darmo. Zapomniał on:

Że kto wyciska sierotkom łezki,
Tego ukarze Ojciec niebieski.

A te dobre sieroty odrabiały mu sumiennie: chłopiec szedł do niego, a dziewczynka do dworu na zarobek, bo dwór płacił i nieraz dał kawałek chleba i jakąś darowiznę jako przyczynek miłosierny.

Gdy Staś zachorował, Marysia szła na zarobek, ale trzy razy na dzień przybiegała do chałupy, przyniosła ona Stasiowi choremu to mleko w garnuszku, to barszczyk w dzbanuszku, to rosołek ze dworu, to lekarstwo od pani, a w nocy znowu sprzątała w chałupie, prześcielała słomę pod Stasiem, prała dla Stasia to koszulę, to jaki łaszek z pod chorego, a gdy nie mogła często przybiegać do niego z pola, to najęła dziewczę z drugiej chałupy, aby pilnowała Stasia chorego. I musiała za to zapłacić, bo dziś nie chcą ludzie ani łyżki wody choremu podać za darmo, ani garści słomy podarować na posłanie. Dziś każdy patrzy na pieniądze, ale nie na Pana Jezusa i Jego przykazy, dziś każdy dba więcej o chleb niż o zbawienie duszy...

Otóż i umarł Staś biedny i Pan Jezus skrócił mu cierpienie i ulżył Maryni, bo ta musiała na chorego Stasia i na siebie zarobić i odrobić krwawo bogatemu sąsiadowi. Biedna Marysia nie mogła już iść na zarobek, bo się musiała starać, jakby to Stasia pochować i rzewnie płakała. Ani tarcicy nie było na trumnę, ani płótna na koszulę śmiertelną, ani pieniędzy na pogrzeb, a tu serce siostry chciało zrobić jaknajlepiej. Otóż wyszukała jeszcze parę desek w izbie i złożyła trumnę jak mogła, bo dziś nikt nie zrobi trumny bez zapłaty i napitku, a Marysia była biedną. A potem otworzyła swoją skrzynkę, gdzie miała chusty, wybrała najlepszą koszulę, obmyła ciało Stasia, uczesała i oblekła go w koszulę i powoli włożyła do trumny. Potem wybiegła na łąkę, nazbierała różnych kwiatów, uwiła wianuszek, ucięła sobie włosów i temi włosami związała ten wianuszek i położyła go na trumnie, a zdjęła szkaplerzyk z piersi swej i włożyła na Stasia, a z Stasia włożyła na siebie i powiedziała sobie:

— Przynajmniej tę pamiątkę będę miała po tobie, a ty po mnie! Ty się módl za mną i kochaj mię na tamtym świecie, jak ja się będę modliła za tobą na tym świecie. Tyś przestał cierpieć, płakać i biedować, a ja teraz nieszczęśliwa sama jedna, tylko Pan Jezus nademną.

I pogrzebała brata, postawiła mu krzyż tak samo jak ojcu i musiała pójść z chałupy, bo ją nielitościwy sąsiad wygnał.

A gdzie teraz ona?

Oto może stoi z tym sąsiadem niemiłosiernym na sądzie Bożym i odbiera nagrodę za dobre sieroce życie, a sąsiad karę za uciemiężenie sierot.

MISYONARZE CHRZEŚCIAŃSCY W CHINACH.

Z pobytu poselstwa rosyjskiego w Chinach, na czele którego stał książę Uchtomski, wysłany z podarkami od cara do cesarza, »Nowoje wremia« zamieszcza zajmujące korespondencye swego współpracownika, który wraz z księciem Uchtomskim udał się jednocześnie do Pekinu. Poświęciwszy kilka listów samej podróży, podaje korespondent szczegółowy opis z Tien-tsin, miasta portowego przy ujściu rzeki Pej-ho, o życiu i o warunkach misyonarzy katolickich, przebywających w tem mieście, a zarazem i o zaszłych w ostatnim czasie wybrykach, jakich się od czasu do czasu dopuszczają wyznawcy Konfucyusza i Budhy przeciw misyonarzom, szerzącym religię chrześciańską.

Katolickie klasztory chętnie przyjmują małoletnich Chińczyków, przyprowadzonych przez ubogich rodziców, dla nawrócenia na wiarę chrześciańską i ochrzcenia. Biedni rodzice otrzymują za to nie wielkie wynagrodzenie (3—5 dolarów). Ofiary te pieniężne pobudziły jednak niecnych Chińczyków, zajmujących się kradzieżą dzieci, do rozwinięcia usilniejszej działalności w chwytaniu małoletnich, a klasztory wiedząc lub nie wiedząc o tem, przyjmują przyprowadzone dzieci przez różne osoby i zapisują je jako nawróconych na wiarę katolicką. W ogólności kradzież dzieci jest rzeczą w Chinach powszechną. Dziewczęta kradną dla zapełnienia domów rozpusty, chłopców zaś — dla tego samego lub dla adoptowania. Chińczyk bezdzietny, to istota nieszczęśliwa. Jeżeli Chińczyk nie ma syna, adoptuje swego krewnego, albo kupuje dla siebie chłopca od ubogich rodziców, lub co najczęściej, od złodziei. Prócz tego, dzieci kupują aktorzy i żebracy. Dla zaspokojenia potrzeb ludności, co roku w końcu wiosny, podczas pełni księżyca podług chińskiego kalendarza, z przybyciem z południa dżonek (małych okrętów) z ryżem przyjeżdżają do Tien-tsin i handlarze dzieci. W roku bieżącym ceny na dzieci, ekspedyowane na południe znacznie się podniosły, w skutek tego kradzież małoletnich płci obojga na północy przybrała nadzwyczajne rozmiary. Złodzieje miejscowi, obawiając się zemsty ze strony rozdraźnionych mieszkańców, skorzystali z mającego nastąpić otwarcia kościoła katolickiego i rozpuścili wieści, że dzieci chwytają na ulicach katolicy. Były także nawet drukowane proklamacye, wzywające naród do zgładzenia ze świata katolików i w tymże czasie dokonano morderstwa na kilku Chińczykach. Niedawno np. jeden z Chińczyków, katolik, szedł przez ulicę, a za nim podążał chłopiec około lat dziesięciu. Naprzeciw nich zaś postępował wzburzony tłum, który napadł na bezbronnego Chińczyka i zaczął krzyczeć: »Oto złodziej dzieci! on zaczarował tego chłopca!« Zatrwożony Chińczyk na razie nie wiedząc co ma odpowiedzieć na swoje usprawiedliwienie, począł prosić zebrany naród, ażeby zapytano chłopca, czy to jest prawdą, o co go obwiniają. Tłum tak też i uczynił, lecz chłopiec się zaląkł i na zadawane pytania nie mógł ani słowa przemówić. To dało powód do mniemania tłumowi, że chłopiec jest zaczarowany i wszyscy chórem zawołali: »Zobaczyć, czy on ma naznaczony olejem krzyż na głowie!«... Tłum usilnie żądał zobaczyć ten krzyż i rzeczywiście zobaczył. Na nieszczęście Chińczyk ten był lajkiem klasztornym, został więc pochwycony i odprowadzony do zarządu policyi. Tu go przesłuchano i wypuszczono wnet na wolność, obwieszczając zaciekłemu ludowi: »Jeżeli chcecie badajcie go sami, bo policya uznała go niewinnym.« Wobec tego, tłum wziął go na indagacyę i potem, jak zwykle wydał wyrok, rozprucia mu brzucha, czego też wnet dokonano. Jeden ze świadków, przerażony tym widokiem, wyrwał się z tłumu i począł spiesznie się oddalać, zauważono to zaraz i rozszalały tłum puścił się za nim, biorąc go za wspólnika zabitego lajka. Wnet i tego spotkał ten sam los. Po tej strasznej scenie tłum



POCIECHA MATKI.

biegł dalej ulicami, a napotkawszy po drodze idących misyonarzy: Portera i Smitha, począł na nich rzucać kamieniami. Misyonarze ci jednak broniąc się wystrzałami z rewolwerów, uniknęli strasznej śmierci.

Chwilowo fanatyczny tłum uspokoił się, bo sąd wojenny, wskutek nalegań konsula amerykańskiego, skazał dla przykładu jednego z złodzi dzieci, Wej-pu, z miasta Ning-ho na śmierć. Dostarczał on chłopców po 30 diao pekińskich (około dolara) rozmaitym osobom. Mimo to tajne towarzystwa, których roje całe znajdują się w Chinach — nie drzemią i być może niezadługo znajdą jaki pozór przeciw katolikom. W każdym razie posłowie i konsulowie europejscy w Tien-tsinie dotkliwie są temi zaburzeniami zaniepokojeni.

O POLSKIE SŁOWO.

O! polskie słowo, życiodajna roso,
Polskiego serca ostatnia pociecho,
Kędyż cię wierni synowie poniosą?
Chyba w twe progi pochylona strzecho,
Kędy ojczysta dziatwa zubożona
Nie bacząc srogich zakazów cesarzy,
U matki padłszy rozżalonej łona,
Języka starych uczy się pieśniarzy;
W każdego słowa rozgląda się krasie,
Urokiem poi chętne serca młode
W minionem słowie i w minionym czasie
Wita straconą miłość i swobodę.
O czarodziejska ojców mowo droga,
Rycerska, twarda i jak stal chropawa,
Jak anioł jasna, jak naród uboga,
A miła sercu jak rodzinna sława;
Ty ukochana od lirników rodu,
A od półwieka brzmiąca z strun z metalu,
Lej się nie słowy niemęzkiego żalu,
A wielkım rytmem zbrojnego pochodu.

Wróg cię wytępia, to stawże się zbrojna,
Ojców żelazną okryta kolczugą,
Jak orzeł lotna, jak mędrzec spokojna,
Życia narodu poważna zasługą.
Nie przystrojona w fantazyjne pióra,
Złudnych barw tęczy mienionych kolorów,
Prosta a piękna, jako boża córa
I córa naszych gór i rzek i borów.
Nie na to dana, by cię łamać, skręcać,
Twarz ci nadawać łudzącą, to szydną,
Lecz by jak trąby w pochodzie zachęcać
Znużone męże w tę noc mało widną.

T. Lenartowicz.

HYGIENA ODŻYWIANIA.

Wszystkie czynności życiowe połączone są z przemianą materyi, przyczem zachodzą w tkankach ciała ludzkiego wybitne zmiany chemiczne, do tego stopnia, że niektóre istoty w skład ich wchodzące, muszą być zastąpione przez nowe. W stanie fizyologicznym organizmu czynność tę wypełnia krew, rozprowadzając po całem ciele pewną ilość materyałów odżywczych które pokrywają ubytek, czynnością organizmu wywołany. Źródłem zaś, dostarczającym materyału krwi są pokarmy, które każdy organizm pobiera w większej lub mniejszej ilości. Co do tego, w jaki sposób w ogóle brak części dla organizmu potrzebnych na organizm wpływa, to, jak z doświadczenia wiadomo, brak ten połączony jest z osobnem uczuciem głodu. U ludzi można nawet ilościowo określić, przy jakim stopniu braku materyałów odżywczych uczucie głodu występuje. Jeżeli bowiem przez jakiś czas powstrzymywać się będziemy od przyjęcia pokarmów, to nie tylko, że przez to powstaje uczucie głodu, ale organizm wybitnie traci na wadze. Dopokąd jednak ta utrata nie dochodzi 600 gramów, to zwykle uczucie to jest dość jeszcze znośne. Dopiero poza tą granicą głód staje się uciążliwym i przykrym. Jeżeli organizm pozbawimy na

czas dłuższy pokarmu, to po pewnym czasie wystąpi wychudnienie czyli charłactwo.

Wpływ ten dłużej trwającego braku pokarmu nie odbija się na wszystkich tkankach jednostajnie. Przedewszystkiem zmniejsza się ilość krwi i jeżeli nadto głód jest absolutny, to jest połączony z brakiem wody, to zmniejsza się ciężar gatunkowy krwi, mianowicie krew staje się gęstszą, niż krew normalna.

Dalej traci organizm wszystkie te tkanki, które przedstawiają materyał zapasowy. Tyczy się to głównie tkanki tłuszczowej. Jeżeli obliczymy procent ilości znikłego tłuszczu, to okaże się, że tłuszczu znika do 90 procent, a pozostaje tylko mała ilość w tych miejscach, gdzie tłuszcz znajdował się w większych ilościach i gdzie zadaniem jego jest wywoływać pewne napięcie np. w oczodole. Przez głód taki mało zostaje zmieniona tkanka mięsna, a najmniej cierpi tkanka nerwowa, mózg i rdzeń.

Jeżeli nawet głód doprowadzi się do tego stopnia, że zwierzę by zginęło, co u różnych zwierząt w różnym następuje czasie, a u ludzi przy pobieraniu wody może trwać i dni 40, to mimo to, że krew, tłuszcz i inne tkanki są zmienione, mózg tylko i rdzeń pozostają prawie bez zmian.

Wychudnienie sprowadzić można nie tylko, pozbawiając organizm zupełnie pokarmu, ale wystarczy już niedostarczyć mu pewnych części składowych samych pokarmów. Wykazać można, że, aby krew dostarczyć mogła tkankom potrzebnych materyałów, nie wystarcza pobieranie jednego pokarmu w odpowiedniej ilości, ale musi być zachowany i pewien stósunek jakościowy. Przy wszystkich bowiem tych wyjątkowych odżywianiach, gdzie jeden tylko gatunek pokarmu jest używany, następuje wychudnienie, upadek sił utrata wagi, słowem to samo, co przy zupełnym braku pokarmów. Tak wywołany głód może również organizm o śmierć przyprawić.

Z doświadczeń w tym kierunku przez rozmaitych badaczy i w rozmaitych czasach przedsiębranych wypada, że w ogóle organizmy wszystkie, aby mogły normalnie się odżywiać i funkcye fizyologiczne pełnić niezmiennie, potrzebują: 1) wody i soli mineralnych, 2) istot białkowatych, 3) tłuszczu, 4) węglowodanów. Wprawdzie we wszystkich tych pokarmach, które spożywamy, wszystkie te istoty dla organizmu niezbędne się zawierają, ale stósunek ilościowy tych istot do siebie w różnych pokarmach, jest różny.

Każdy organizm już z natury dobiera sobie sam potrzebnych mu pokarmów. Obserwować to można na ludziach i zwierzętach. I tak, jeżeli podawać bydłu zieloną tylko paszę, to zjawia się u niego potrzeba przyjęcia soli mineralnych, przeto też chciwie rzuca się na wszystko, co sole takie zawiera.

Człowiek, przez czas dłuższy pewien tylko gatunek pokarmów przyjmujący, po pewnym czasie zniechęca się do nich, a nabiera apetytu do innych. Voit podaje, że przy przeciętnej wadze ciała 60 kilogramów wynoszącej, trzeba wody 2818 gramów, soli mineralnych 32 gramów, istot białkowatych 120 gramów, tłuszczu 90 gramów, wodników węgla czyli skrobi 330 gramów, razem ilość pokarmu na dobę winna wynosić 3 kilogramy 390 gramów.

W 1000 zaś częściach jakiegokolwiek pobieranego pokarmu, winien być zachowany pewien stósunek jakościowy t. j. z tych tysiąca części powinno przypadać 831 części na wodę, 10 części na sole mineralne, 25 na istoty białkowate, 27 na tłuszcze i 97 na węglowodany, zawierające się w jarzynach. Ztąd wszystkie materye, pobierane jako pokarmy, można podzielić na pożywne t. j. takie, które są niezbędne dla organizmu potrzebne i pokarmowe tj. takie, które prócz istot pożywnych zawierają części dla odżywienia obojętne.

Pożywność pokarmów zależy od ilości zawartych w nich składowych części i od ich wzajemnego stósunku. I tak w serze na 1000 części jest 369 wody, w mięsie 739, w białku jaj 841. Części

białkowych jest w białku jaja na 1000 części 117, w żółtku 160, w mięsie wołowem 174, a w serze 334.

W kartoflach możemy znaleźć wprawdzie wszystkie części pożywcze, t. j. części białkowate, skrobię, wodę, tłuszcz i sole mineralne, ale stósunek tych zawartych tu części jest niestósowny i dla ekonomii organizmu nader niedogodny, części bowiem białkowatych bardzo nie wiele, mało tłuszczu, natomiast skrobi dużo, a wody najwięcej. Jeżeliby kto chciał żyć samymi kartoflami, to podług obliczenia musiałby zjadać dziennie 20 funtów, aby pokryć potrzebę istot białkowatych, zaś używając jedynie samego mięsa, ponieważ tu znów ilość zawartych tłuszczów i wodników węgla, jest nieznaczna, musiałby zjadać kilka kilogramów mięsa na dzień. Tylko mięszając rozmaite pokarmy, w których są zawarte przeważnie jedne części z tych składników w odpowiednim stósunku, możemy stósunkowo małą ilością



DWAJ PRZYJACIELE.

pokarmów zaspokoić wszystkie potrzeby organizmu.

Wszelkie zatem przekładanie animaliów lub wegetabiliów jedne nad drugie, wyłączne żywienie się mięsem lub jarzynami jest w sprzeczności z zasadniczemi prawami fizyologicznego trawienia. Wegetaryanie, utrzymujący, że człowiek może się wyżywić, wyłącznie jarzyn za pokarm używając, mają po części słuszność, przypisując jednak spożywaniu mięsa wzmaganie się dzikich instynktów u ludzi, znacznie rzecz przesadzają. A już najzupełniej mijają się z prawdą, twierdząc, że budowa przewodu pokarmowego u człowieka, odgowiada raczej pokarmowi roślinnemu. Człowiek pod względem budowy przewodu pokarmowego stoi ściśle na granicy pomiędzy roślino- a mięsożernymi. Prawda, że np. górale tatrzańscy żywią się wyłącznie jarzynami i twarogiem, tj. zsiadłem mlekiem; nie ulega też wątpliwości, że górale szkoccy słynący z siły fizycznej i wytrzymałości żywią się podobnie, że węgierscy i siedmiogrodzcy żniwiarze w czasie żniw zupełnie prawie mięsa nie używają, nareszcie nie rzadko przekonać się można, że i nasi przygodni wegetaryanie cieszą się doskonałem zdrowiem, a dzieci ich rozwijają się najzupełniej normalnie, wyjątków wszakże, chociażby liczniejszych, zastósowanych do warunków klimatycznych i sposobu życia nie należy brać jako wzór, gdyż będą one zawsze pozostawały w sprzeczności z fizyologią trawienia i odżywiania. *Dr. S. H.*

Dzienniki przed 2000 laty.

Pomimo zaprzeczenia znawców starożytnego Rzymu, którzy twierdzą, że dziennikarstwo w dzisiejszem słowa tego znaczeniu nie istniało w Rzymie, t. zw. acta diurna można śmiało uważać za dzienniki, oddające współczesnym takie same usługi, jakie nam codziennie oddają gazety nasze. Cyceron w roku 112 przed Narodz. Chr. wspomina o dziennikarzu imieniem Chrestos, który cieszył się wielkiem uznaniem obywateli swego kraju. Wydawany przezeń dziennik zawierał nie tylko nowiny polityczne, opis przyjęć na dworze cesarskim, ale zasilał swe łamy bieżącymi wypadkami, plotkami i nadzwyczajnemi wiadomościami, jak n. p. o potworze morskim, o niewiastach, które urodziły trojęta i t. p. Według Tacyta, dzienniki tego rodzaju były chciwie czytywane przez wojskowych.

W miarę, jak Rzym wzrastał i stawał się stolicą świata, lud rzymski, zajmujący się żarliwie polityką, pożądał ostatnich wiadomości. Mieszkańcy prowincyi, biorący bardzo żywy udział w życiu publicznem swego kraju, tak, iż byli żądni wiadomości bądź politycznych, bądź niepolitycznych. Najbogatsi trzymali w Rzymie korespondentów własnych, przeważnie Greków, lub wyzwoleńców. Korespondenci mieli na swoim żołdzie kilkunastu przepisywaczy, którzy bardzo szybko kopiowali zbiory ostatnich nowin. Tego rodzaju źródła przypominają pod bardzo wielu względami dzisiejsze agencye telegraficzne, które dziennikarzom dostarczają codziennie materyału bieżącego. Zauważyć należy, że już przed 2000 lat skarżono się na oschłość, a nie kiedy na kłamliwość nowości. Cyceron, mówiąc o dziennikach rzymskich, nazywa je przeważnie acta urbana.

Juliusz Cezar doszedł do przekonania, że z żądzy wiadomości ludu rządzący powinni dla swoich celów wyciągać korzyści. Zaczął tedy w r. 59-tym przed Narodz. Chr. wydawać pierwsze dzienniki urzędowe, mianowicie Acta Senatus (zawieszone dopiero za Augusta) i Acta diurna. Cała armia kopistów rozsyłała orzeczenia senatu do najodleglejszych zakątków państwa rzym-

skiego. W chwilach najbardziej gorących, jak n. p. podczas knowań Katyliny, wiadomości z senatu wychodziły najregularniej. Był to dziennik rozdawany bezpłatnie, redagowany przez konsulów, którzy oczywiście nadawali wiadomościom zabarwienie, a niekiedy zamilczeli o nich zupełnie.

Tak np. znany jest wielki proces Milona, głośnego trybuna, oskarżonego o morderstwo w roku 52 przed Nar. Chr. W obronie oskarżonego stawał Cyceron, który wypowiedział w obronie swego klienta słynną mowę Pro Milone. Z kolei sprawa przeszła do senatu, napróżno jednakże szukalibyśmy szczegółów posiedzenia w dzienniku urzędowym. Pompejusz, konsul ówczesny, kazał o sprawie zamilczeć i sprawy zgodnie z życzeniem konsula ani w Acta Senatus, ani w Acta Urbana nie zamieszczono.

Pliniusz, Tacyt, Swetoniusz przytaczają niektóre wiadomości z dzienników ówczesnych. Podajemy z nich niektóre, głównie dlatego, że są kubek w kubek podobne do dzisiejszych notatek dziennikarskich: »Aufidyusz, bankier, znikł ze znacznemi sumami pieniężnemi. Zatrzymano go w drodze i oskarżono przed pretorem. Że jednak zwrócił poszkodowanym wszystkie pieniądze, wypuszczono go na wolność«. »Niejaki Crispinus Hilarius z Sycylii przyszedł do świątyni Jowisza złożyć ofiary. Towarzyszyło mu 9 dzieci, 27 wnuków i 37 prawnuków.«

Obok tego rodzaju wiadomości zamieszczano opisy pogrzebów, mowy cesarzów, wypowiadane do posłów, notowano rozwody, urodzenia i zgony. Nie brak nawet reklam, a szczególniejszą do nich słabostkę miała cesarzowa Livia, która pilnowała sama, aby wszystkie jej przyjęcia dworskie były najdokładniej opisane. Seneka z dumą twierdzi, że nigdy nie dał się skusić reklamie pod pozorem dobroczynności, Benefiuium in acta non mitto (nie ogłaszam moich dobrodziejstw w dziennikach.)

Powodzenie dzienników rzymskich trwało bez przerwy, aż do pierwszych wieków chrześciańtwa, poczem dzienniki nagle znikają i nie pojawiają się aż w 14-tym wieku naszej ery. Holandya, Anglia, Wenecya, Francya kolejno przyznają sobie zaszczyt wydania pierwszego dziennika nowoczesnego. Najprawdopodobniej najdawniejszemi metrykami mogłyby się pochwalić dzienniki holenderskie. Ludwik XIV niejednokrotnie żalił się na dzienniki holenderskie »złośliwe i zuchwałe.« Dawniejsze pochodzeniem były jedynie weneckie: Foglietti d'avisi. Jak twierdzi uczony niemiecki Scharzkopf, pierwszy dziennik w dzisiejszem słowa tego znaczeniu wychodzić zaczął w Norymberdze w roku 1457, to jest w 17 lat po wynalezieniu druku przez Guttenberga.

PODANIE LUDOWE Z NAD BRZEGÓW SKAWY.

Dawno już temu, bardzo dawno, była na prawym brzegu Skawy w dolinie żyznej duża i rozległa wieś, ozdobiona kościołem z wieżą, ocieniona rozłożystemi drzewami. Królowała ona na wzgórku, i choć bez wspaniałych gmachów, bo ni ogrodu, ni zamku, ni dworu szlacheckiego nie było, panowała uprawną rolą, zielonemi łąkami, liczną trzodą na całej pochyłości aż do rzeki, a tam u stóp Tatr i Karpat dla jej mieszkańców świat się kończył, zasunięty olbrzymią zasłoną, ręką Stwórcy ze ziemi, skał, drzew, zrobioną.

Otóż nad Skawą, u stóp Karpat, w tej ludnej osadzie na wzgórku, ostatnia chata wyższa i obszerniejsza była od innych.

Dach wprawdzie ze słomy, ale strzecha suta, porządnie i hojnie poszyta,

ściany troskliwie wylepione, okna czyste i nie natłuczone, płoty cierniste starannie i kształtnie uplecione. Wrota wysokie, podwórze umiecione, a po dwu stronach zastawione pługami, radłami, bronami, wozami i różnemi gospodarskiemi sprzętami. Przed stodółką były cepy i szufle, w obórce napasione krowy i cztery wołki w jarzmach; w sadzie zaś śliwy i jabłonie gną się pod ciężarem owoców. Ku południowi stoi szereg ulów, a na drobnej gęstej murawie bieli się gładko rozciągnięte płótno, warzywo wolne od chwastu na grządkach bujnie rośnie, a dalej połyskuje złotem łan pszenicy.

W izbie chędogo a nie ubogo, kądziel owinięta białym lnem, mleko pieni się w kilku naczyniach glinianych, ławy, stoły pomyte, na ognisku wieczerza na węglach czeka zgromadzenia się rodziny.

Wszędzie widać pracę, błogosławioną pracę, wszędzie spłynęła rosa niebieska na znoje i trudy ludzkiej skrzętności, sądzić łatwo, że oszczędność, gorliwe i cierpliwe zabiegi i żarliwa modlitwa, sprawiły tę błogą obfitość.

Tych Boskich darów próżniactwo i przepych pojąć, skosztować, ocenić, nie umieją; mierność cnotliwa wie, że swoboda okupiona pracą jest bogactwem prawem, pokora i spokój towarzyszą jej.

I był też spokój w tej chacie, chociaż w niej ani próżno, ani cicho nie było, gdyż w około hożej i dorodnej matki uwijało się sześcioro dziatek: rumiane ich lica, żywość w czarnych oczach, ciemne włosy, głosy wesołe, nadawały im lubą jednostajność, która się mile i wyraźnie zlewała w podobieństwie z rodzicami.

Ojciec silnej postawy a męzkiej piękności, wiekiem poważniejszy od swej towarzyszki, w pierwszej młodości poszedł był na Hajdamaków, zemścić się na nich Boga i Ojczyzny: odbijał się na jego czole blask odwagi, urok szczęścia, powaga pracy, wiele ukochał na ziemi, a przecież pragnął nieba.

Chociaż chłopięta drobne zaganiał ich już do roboty, brał z sobą w pole, matka równie maleńkie rączki dziewczek składa do pacierza, do igiełki do przędzenia, tylko jednej w kolebce niczego jeszcze nie uczy, ale ona czy do aniołków się śmieje, czy sama jest aniołkiem, któremu skrzydełek nie widać, nie wiedzą, błękit oczu i złote pierścienie płowych włosków, usteczka wdzięczne, białość przezroczysta kształtnego ciałka, wszystko różni się od innych: rośnie, chodzi i mówi a wszystko dobrze i ślicznie.

Ojciec pogląda z rozrzewnieniem, niekiedy rękę swą położy na główce, a dziecina klęka i główkę nachyla; ona nie wie co to i nie pyta, ale czuje, że to błogosławieństwa. Matka kocha, do łona tuli, a w najczulszych pieszczotach nieśmiała, z tamtemi cały dzień się napracuje, nakłopoci, nagada, i choć wieczorem po trudach usiądzie przy niej i patrzy jej w oczka jakby w gwiazdkę pociechy i zapyta czasem coby chciała? A ona się uśmiechnie i nigdy nic nie chce, przyjmuje, dziękuje, ale nie żąda, nie szuka, nie pragnie niczego, mało mówi, tylko od rana do nocy uważa jak matce co ułatwić, usunąć, jak pomódz, mili się ojcu, znosi, służy mu ile podołają drobne rączęta, braciom i siostrom ustępuje, wszystkiem się dzieli, czeladź nawet ludzi przy pracy słowem łagodnem, śpiewką pobożną pokrzepić, lub z nią ochoczo robotę łatwą podejmie.

Każdy miał tam sobie obowiązek zadany; matka powierzyła stado gęsi najmłodszemu synowi, aby je nad rzeką pasał; nie pilnował ich bacznie, zawsze rozproszone lub spłoszone, nie umiał potem zwołać i zgromadzić, matka się często umęczyła i niekiedy gniewała. Zawsze anielska dziecina za brata ją przepraszała, aż razu jednego prosiła pokornie, aby odtąd na nią to zdane było; ale nieostrożnością chłopięcia ptaki zdziczałe! daleko od domu! i nad samą wodą! jak to będzie? A lubej i mądrej dziecinie odmówić trudno, prawie niepodobna; idzie tedy i co dzień boso i w białej koszulce, a gąski powolne nie uciekają i przed urokiem wracają, a berło jej to gałązka czeremchy lub leszczyny.

Już od kilku dni maleńka ze wschodem słońca szła w pole daleko. Pochmurne było niebo, nie rozpatrzyła się, z razu cała zajęta uskromieniem niekarnych swoich poddanych, wnet samotność, dotąd nieznana, mgłą tęsknoty zasępiła pogodną twarzyczkę, aliści siódmego poranku, jutrzenka wspaniała roztoczyła purpurowe promienie, miliony iskier z głębi Skawy wyskoczyły ją witać, góry to błękitną, to fioletową barwę przybrały, lasy umajone żywą zielonością rozpostarły swe cienie, każdy przedmiot wydatnym i zbliżonym się zdawał, przyrodzenie wszelkiej piękności powabem ogarnęło świat rozbudzony.

Pastuszka nasza odurzona światłem, zachwycona, milcząca, wszędzie sięgała, nigdzie nie odpoczęła, serce jej wezbrane, aż tu pod gajem spostrzegła szczyt lichej kapliczki, bieży pędem, ona, co nigdy nie ciekawa, nigdy się nie spieszy, bieży gołą nóżką po roli, po piasku, ponad rzekę i dobiega. Wątpić nie może, to kaplica, bo krzyż na wierzchu, ale wnijść ani myśleć, ani nawet dojrzeć co w niej, kamienie, ciernie i ziele wysokie zarastały wchód do niej, to ją nie zraża, odważnie się nagina, łamie rączką pokrwawioną ostatnią łodygę, z trudnością wyrywa i wchodzi, nad szczątkami zwalonego ołtarza krzyż, a na nim przybity Zbawiciel.

Dziecina upada na kolana, rączki składa na piersiach, wznosi smętne oczy zalane łzami i głosem wdzięcznym i żałosnym: »Tak Cię to samego zostawili mój Panie!« — zawołała — »nikt Cię nie pilnuje, nikt z Tobą nie rozmawia, tak Ci tu smutno i ciemno i głodno. Już Ci tak nie będzie mój Jezu! ja Cię tu ubiorę, nakarmię, ja Cię kochać będę, bawić się i płakać chcę z Tobą.

I dnia następnego koszulkę białą włożyła na Boski wizerunek, uplotła wianek z stokrotek, na koronie cierniowej zawiesiła, zamiotła kapliczkę, posypała wonnemi kwiatami ółtarz i połowę swego chleba i jagody w koszyczku postawiła, i na progu siedząc, czekała, a gdy słońce zachodziło, powstała: »dobranoc Ci mój Panie!« — rzekła, słodkim wejrzeniem żegnając obraz Zbawiciela, — wrócę jutro i pojutrze wrócę i zawsze przy Tobie i z Tobą zostanę, już Ci nie będzie smutno, ciemno i głodno, póki ja żyć będę«.

Wiernie danego dotrzymała słowa, dnie całe doglądając gąsek, a patrząc na krzyż, mówiła, śpiewała, kapliczkę ozdabiała, a często, bardzo często wracając w południe, zastawała w niej modlącego się żebraka lub pielgrzyma, który dzięki składał za pokrzepienie się niespodziewanym posiłkiem, a jej się lubo na sercu robiło.

Aż tu dnia jednego, już w późnej jesieni, wypędzała gąski z podwórza, kiedy matka rzekła:

— Dziś ostatni raz pójdziesz w pole.

Pobladły rumiane lica dziecięcia, drżącym głosem spytała:

— Matulu, a kiedyż tam wrócę?

— Na wiosnę dopiero!

Pobiegła do chaty, otworzyła skrzyneczkę i wyjęła z niej kilka czerwonych jabłek, które do koszyka włożyła i pomału szła w pole, rączką ocierała łzy rzęsiste, a pognawszy stado na zwykłe miejsce nad rzekę, pobiegła do kaplicy.



SMUTEK MATKI.

Tam zamiast wesołego codziennego powitania, łkaniem przerywając mowę, tak się odezwała:

— Czy nie wiesz, co się stało, o mój miły Panie? czy widzisz jak ja płaczę? ale płacz mi nic nie pomoże, matki muszę słuchać, już nie wrócę! znów Ci zimno i smutno i głodno będzie, ostatni raz jabłuszka Ci moje przynoszę i sukienkę ciepłą — a odwiązując sukmanę zimową, z siebie zdjęła, zawiesiła na krzyżu i nią otuliła Jezusa, i cały dzień wzdychając i narzekając tkliwie, żegnała ulubionego, jedynego swego towarzysza.

Już się ciemnieć poczęło, dziewczynka stała na progu i odejść miała, kiedy głosem dźwięcznym, poważnym, cichym i pełnym imię jej zabrzmiało uroczyście pod sklepieniem kapliczki, bez trwogi oczy wzniosła, patrzy na Pana i czeka.

— Córko moja! na mnie kolej poczęstować cię i ustroić, zapraszam cię jutro do siebie na królewską ucztę i królewskie dostaniesz szaty i przy mnie siedzieć będziesz, czy przyjdziesz?

— O przyjdę mój Jezu, ale gdzie mi przyjść, czy tutaj?

— Do nieba, nie tutaj, chceszli być u mnie, to umrzeć musisz.

— O ja chcę umrzeć i być u Ciebie mój Boże.

I dziecina wolnym krokiem szła ku domowi, paluszek na czole trzymała, oczka ku ziemi spuściła i rozmyślała, pokój radosny malował się na wdzięcznem obliczu, i weszła do izby, gdzie grono rodzinne już koło wieczerzy się krzątało, na ławie wskazano jej miejsce, ale ona wsparłszy główkę na ramieniu ojca, cicho mu szepnęła te słowa:

— Nigdym was ojcze o nic nie prosiła, przyrzeknijcie, że mi nie odmówicie, o co dziś prosić będę.

— Przyrzekam, — odrzekł zdziwiony.

— O nie mówcie głośno, by matula nie słyszała mojej prośby, darujcie mi trumienkę, pierwsza i ostatnia to moja prośba.

Ojciec radby się uśmiechnąć i w żart obrócić tę mowę, ale dziecię poważnie i z litością na matkę wskazało, rączki błagalnie złożyło i zadrżała mu łza w oku, powstał, wziął toporek i wyszedł.

Dzieweczka pocałowała braci i siostry, obłapiła kolana matce i do paciorka uklękła, a wszyscy spali, nim ona go skończyła.

W komorze przed świtem leży na ziemi trumienka, dziecina oblekła białą koszulkę, włożyła wieniec zielony na swoje złote kędziorki i czeka przebudzenia rodziców, a gdy się ocknęli, zbliżywszy się do nich, jak zwykle:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — wyrzekła.

Odpowiedzieli:

— Na wieki!

Ona wtedy uklękła, a przymilając im się i tuląc główkę do ich łona:

— Żegnam was drogi ojcze, kochana matko! Jezus mnie do siebie zaprosił. Nie płaczcie. Wyglądać was będę w niebie!

Zdumieni nie pojmują znaczenia tych słów, jak się im często niepojętą zdawała ta luba dzieweczka. A ona wraca do komory i lekko drzwi zawiera. Rodzice smętni garną się jednak do pracy nie mówią do siebie i słowa, a tu gdy mają zaczynać modlitwę poranną z dziatkami i czeladzią, słyszą wszyscy anielskie pienie, głosy anielskimi wdzięcznie wtórowane. Matka struchlała, chwieje się, biegnie, otwiera drzwi i widzi dziecinę swoją ukochaną leżącą w trumience, bledziuchne lica, oczęta zamknięte, ręce na krzyż złożone, uśmiech nadziemskiej rozkoszy na ustach koralowych.

— O Boże! — krzyknęła żałośnie, — umarła! myśmy jej nie byli warci; — i padła na ziemię, duszą i wnętrznościami bolejąc.

— Niewiasto! — zawołał mąż, podejmując ją zwolna, — tyś matką tego aniołka — i wyrzekał uroczyście z uwielbieniem i rozrzewnieniem: — Bądź odtąd siostrą moją i panią.

SZYBKOBIEGI.

Chodzenie, bieganie należy do tych ćwiczeń ciała, których ważność nie dosyć znana. Są wprawdzie rozsądni ludzie, korzystający z każdej okazyi, aby iść pieszo, zamiast jeździć wygodnemi kolejami, i to nie dla oszczędności ale po prostu dla zdrowia. W obecnych czasach, ludzie uprawiają chodzenie i bieganie jako sport, jako ćwiczenie ciała dla zdrowia, albowiem środki komunikacyjne, szczególnie w miastach są tak liczne i wygodne, iż z konieczności mało chodzić potrzeba. Starzy Grecy wielce tę umiejętność szanowali — a ich historya zapisała na tem polu tak zadziwiające rzeczy, że dzisiaj nietylko nie słyszy się o niczem podobnem, ale uważa je się za niemożliwe. I tak naprzykład Tebańczyk Lasthenes, miał zwyciężyć w biegu dobrze ujeżdżonego konia wyścigowego. Poliamestor chwytał uciekającego zająca. Alexander Wielki miał gońca, który przestrzeń między Sytyonem a Elis, wynoszącą 222 kilometrów, przebywał w dziewięciu godzinach. Euchidas z Platei przebiegł 185 kilometrów nie odpoczywając, aby znieważony przez Persów święty ogień swego rodzinnego miasta na nowo rozniecić, jednakże u celu padł nie żywy. Pliniusz opowiada o atlecie, który w cyrku, bez wypoczynku biegł 235 kilometrów.

Tureccy sułtani trzymali jeszcze przed niewielu wiekami gońców, którzy drogę z Konstantynopola do Adrianopola, tam i z powrotem 320 kilometrów wynosząca, odbywali w dwóch dniach. Ci tureccy gońcy, biegali boso i z tego powodu mieli pod stopami jak róg twardą skórę.

W ubiegłem stuleciu prawie wszyscy książęta i wybitne rody trzymali gońców, biegnących przed karocą swych panów, a żaden koń nie wyrównał im co do wytrzymałości. Przeciętnie przebiegali półtorej mili geograficznej na godzinę przy sześcio- lub ośmiogodzinnym biegu.

W Hiszpanii po dziś dzień t. zw. »Zagales« biegną obok swoich galopujących mułów od rana do wieczora, nie okazując najmniejszego zmęczenia i nie przestając głośnem nawoływaniem, przekleństwami lub pieszczotami zwierząt zachęcać. Często odbywały się zakłady o biegi i wytrzymałość w chodzeniu, szczególniej w Anglii. Dwaj Szkoci Flechter i Barclay znani byli jako szybkobiegi, a najwięcej wsławili się w 1801 zakładem o bardzo wysoką sumę. Barcley utrzymywał, że przebędzie pieszo 90 mil angielskich w przeciągu 21 godzin i wygrał zakład świetnie, przez co zasłynął w Anglii więcej jeszcze, niż jego poprzednik Povell. Inny znany szybkobieg angielski Marshall, mając lat 60, przebył pieszo 30 mil ang. w 6 godzinach.

Z pieszych podróżników, którzy nie tyle szybkością biegu, jak wytrzymałością się odznaczali, wsławił się niemiecki poeta Seume który między rokiem 1801 a 1802 odbył wielką podróż pieszą z Saksonii do Syrakuz, a drugą r. 1805 do Petersburga przez Finlandyą i Szwecyą. Z tej przechadzki do Syrakuz opisał poeta swoje wrażenia i przygody. W naszem stuleciu obudziły wędrówki Norwegczyka Mensena Ernsta wielki podziw w całej Europie. Trzykrotnie objechał on na fregacie »Caledonia« wszystkie morza i trzy razy był w Zachodnich Indyach, aż nakoniec powróciwszy do Londynu, powziął myśl wyzyskania swej umiejętności nadzwyczajnej w chodzeniu. Dwa ogromne biegi, jeden z Londynu do Portsmonth (72 mil w 9 godzinach) drugi z Londynu do Liverpoolu (150 mil w 32 godzinach) ustaliły jego europejską sławę a zarazem rozbudziły drzemiące w nim skłonności do biegania w tak tej mierze, że odtąd bezustannie przebiegał świat, przez dziesiątki lat w rozmaitych kierunkach na znanych i nieznanych drogach z szybkością jeździca, a wytrwałością jaskółki.

W trzydziestym dziewiątym roku życia mógł się Ernst poszczycić, że odbył 50 tysięcy mil — z których dwie trzecie morzem a jedną trzecią lądem, pieszo. Jego najszybsza podróż była z Paryża do Moskwy w celu rozstrzygnięcia zakładu o 100 tysięcy franków, między kilku Francuzami i kilku Anglikami. Ernst opuścił plac Vendôme w Paryżu 11-go Czerwca 1831 r. o dziesięć minut po 4 godzinie i stanął przed wielką bramą Kremlu dnia 22-go Czerwca o 10 godz. przed połud., a więc przebył przestrzeń 352 milową w $13\frac{1}{2}$ dniach czyli musiał dziennie ujść 25 do 26 mil.

Jeszcze więcej zadziwiającą była nadzwyczajna przeprawa jego z Nymfenburga do Nauplii w r. 1833, trwająca od 6-go Czerwca 1 godz. po południu do 1-go Lipca, godziny 9 rano; celem jej było zaniesienie królowi Ottonowi greckiemu pozdrowienia oraz listów od rodziny. Podobnej podróży przez bezdrożne góry Dalmacyi i Czarnogóry nie odbył przed Mensenem nikt, chyba w starożytności wałęsający się po świecie Herakles.

W roku 1836 wysłany z poleceniami wschodnio-indyjskiej kompanii, opuścił 28-go Lipca Konstantynopol i przybył 27-go Sierpnia do Kalkuty, a ztąd wyszedłszy 1-go Września, przebył całą środkową Azyą z szybkością karawany i wrócił do Konstantynopola. Później wstąpił Mensen Ernst w służbę księcia Pükler z Muskau, wielkiego oryginała, który używał Ernsta jako posłańca z miejsca swego pobytu do Berlina. Mensen omijając szosy kierował się tylko podług mapy, i potrzebował 14 godzin na odbycie drogi, która poczta przejechać zdołała w 24 godzinach. Oprócz tych zalet fizycznych posiadał Mensen Ernst bardzo łagodny i miły charakter, to też w swoich podróżach nie miał nigdy zatargów i niemiłych przygód, chociaż spotykał często zbójców i złodziei. Był w stanie iść 20 niemieckich mil dziennie i za całe pożywienie wystarczał mu kawałek chleba.

Obecnie sposoby komunikacyi przewyższają wszystko, cokolwiek człowiek o własnych siłach mógłby wykonać. To też piesze podróże wyszły ze zwyczaju, a ruch potrzebny dla ciała starają się ludzie zastąpić gimnastyką i turniejami. Raz po raz słyszy się jeszcze o przedsiębiorczych turystach, ale do nadzwyczajnych popisów w chodzeniu odstraszył wielu przykład szybkobiega Käpernika, który umarł wskutek wyczerpania sił w biegach o zakłady. Welocypedy także przyczyniają się do zaniedbania podróży pieszych, za to dowiadujemy się od misyonarzy i podróżników, że indyjscy górale w Meksyku, Peru i innych krajach uprawiają ten sport do dziśiaj i dokazują cudów szybkości i wytrwałości w chodzeniu.

ROZMAITOŚCI.

* **Gazety w Chinach i Japonii.** Stanowisko gazet w Chinach i Japonii różni się bardzo. W Japonii najwyżsi dygnitarze państwowi stoją na czele pism i starają się odpowiedzieć stanowiskom redaktorów, nie zaniedbując bynajmniej spraw politycznych. Naczelnym redaktorem gazety »Tokyo Nitschi Schimbum« jest baron Mojosi Ito, były więc minister spraw wewnętrznych, a obecny konsul Korei. Kei Hara jest naczelnym redaktorem gazety »Osaka Mainitschi Schimbum« — a były więc minister handlu, przemysłu i rolnictwa Schuischiro Saito naczelnym redaktorem gazety »Tschugai Schegio Schimpo« w Tokyo. W Chinach prasa jest tak lekko traktowana, iż dotychczas nie posiada nawet stałych przepisów regulujących. W ogóle gazety uważane są w Chinach za świstki papieru, nietylko bezpożyteczne, ale nawet szkodliwe.

* **Najmniejszy człowiek.** Najmniejszym człowiekiem na świecie jest jeden z mieszkańców wyspy Anguilla, należącej do angielskich posiadłości w Indyach zachodnich. Pewien podróżnik dokonawszy jego pomiaru otrzymał następujące cyfry: wzrost 27 cali, waga 40 funtów. Karzełek ten, należący do rasy etyopskiej, liczy 39 lat i cieszy się jak najlepszem zdrowiem. Umysłowo jest także bardzo rozwinięty.

* **Jak się zbiera kauczuk!** Powodzenie koła zapewniło olbrzymi zbyt przedmiotom z kauczuku, tak iż ludzie przezorni zaczynają się obawiać, aby go nie zabrakło. Zbiór jego odbywa się w sposób niezwykły. Sok drzew,

wydających kauczuk, jest cieczą rzadką i dla zgęstnienia potrzebuje ciepła. Brazylijczycy używają w tym celu gorącej łopatki, murzyni z Kongo postępują sobie inaczej — taniej, a mianowicie oblewają się ową cieczą, która pod wpływem ciepła ich ciał gęstnieje szybko. Murzyn zostaje pokryty warstwą kauczuku, którą następnie ściąga z siebie, nacierając się mocno dłonią i zwija w kule. Sposób zaiste bardzo prosty, inne jajko Kolumba.

* **Okup.** Wskutek napadów tatarskich i wojen tureckich mnóstwo ludu i szlachty dostawało się z Polski w jassyr. Znakomitszych jeńców powracano do kraju za okup czasami bardzo wysoki lub w zamianie za jeńców tatarskich i tureckich, pojmanych przez Polaków podczas walki. Na uwolnienie ludzi biednych, których rodzina nie była w możności wykupić, składały nieraz pobożne ofiary serca szlachetne. Oto np. w r. 1637 szlachcic bezimienny przysyła na ten cel 2.000 złp. magistratowi lwowskiemu. Burmistrz Jakób Szolc zeznaje przed urzędem radzieckim »iż przyszedł do mnie człowiek po imieniu Walenty, nie opowiadając się skąd i od kogo, z listem następującym: »Mój sławetny Senacie Lwowski! Że w tak zacnem mieście jest skarb pospolity, do którego ludzie Pana Boga miłujący udzielają na okup ludzi w ręku pogańskiem zatrzymanych, ja też odsyłam Waszmościom dwa tysiące złotych polskich spełna przez Walentego, poddanego mego, które proszę, obróćcie WaszMoście na wykupno biednych ludzi w ręku pogańskiem zatrzymanych.« Jeszcze w czasie wojen krzyżowych utworzony został naprzód we Francyi zakon Trynitarzy czyli św. Trójcy, którego celem było wykupowanie jeńców z rąk Saracenów. Zakon ten do Polski przybył dopiero za czasów Sobieskiego, gdzie fundowano mu klasztory w Warszawie (na Solcu w r. 1693), we Lwowie, Wilnie, Kamieńcu podolskim i Łucku. Ksiądz Adam Trynitarz wydał roku 1783 w Warszawie ciekawą książkę: »Zebranie wszystkich redempcyj, które prowincya polska zakonu Najśw. Trójcy od wykupienia niewolników w krajach tureckich i tatarskich od roku 1688 do 1783 czyniła«

FRASZKI.

* **W szkole.** Inspektor: W jaki sposób utrzymujesz pan swoich uczni w takim rygorze, nie używając rózgi?

Nauczyciel: W sposób bardzo łatwy, każdy uczeń, który swawoli, lub nie uważa, dostaje po szkole po łyżce stołowej oleju rybnego. To pomaga.

* **Mowa przy ślubie.** Pewien ksiądz zaślubiał mężczyznę sześćdziesięcioletniego z kobietą mającą blisko siedemdziesiąt lat.

Przy tej sposobności wygłosił przedślubną mowę, rozpoczynając od słów: »Panie! odpuść im, bo nie wiedzą co czynią.«

* **Dla czego Wojciech będzie wójtem?**

Błażej: Ja, mój kumie tak miarkuję, aby Wojciecha wybrać wójtem.

Kuba: A dla czego?

Błażej: No, bo u Wojciecha największa izba.

* **Stałe zajęcie.**

Sędzia: A więc oskarżony nie ma żadnego stałego zajęcia?

Żebrak? Przepraszam pana sędziego mam zajęcie.

Sędzia: A jakie?

Żebrak: Od lat 10-ciu żebrzę.

Licha wymówka.



Pan: A po coś ty wszedł na drzewo, hultaju?
Wicek: Bo Franek już na niem był.
Pan: To co?
Wicek: Chciałem go z drzewa spędzić.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. -- Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.